

bezszelestnie niesamowite skarby. To słowa właśnie, słowa są tymi skarbami – słowa dzięki którym każdy nasz dzień może nabrać sensu, znaczenia, esencji i barw. Słowa odpowiednio złączone, dobrane, oszlifowane jak diamenty. A diamenty są przecież wieczne. Dzieje się tak wbrew przemijaniu i przemijalności. W tym tkwi coś niesamowitego. Coś, czego już chyba żaden poeta współczesny nam dziś nie dostarczy. Może jednak się mylę...? Może to tylko złudzenie. Sklonowany byt oczekiwań i tęsknot. Moich jako odbiorcy.

Wiele spraw poruszono w tych świetnych wywiadach. Nad wieloma ciężko spojrzeć obojętnie, do porządku dziennego. Pokazuje nam Marek Wawrzkiwicz jak z „inżynierów ludzkich dusz” poeci stali się w swych organizacjach żebrakami. Opowiada nam prawie bajki. A jednak doskonale wiemy, że to prawda, że rzeczywistość skrzeczy za rogiem i strach się bać (wywiad z 2015 roku):

Z badań wynika, że w minionym roku zaledwie 19 procent rodaków kupiło przynajmniej jedną książkę. Ale czy ją przeczytało? Jeszcze nie tak dawno książka była dokumentem kultury – teraz stała się prawie wyłącznie towarem. (...) Katastrofalnie obniżyły się gusty czytelników (...)

Tak, tak. Marek Wawrzkiwicz nie unika trudnych tematów. Z właściwym sobie spokojem je ujmuje. Opowiada między innymi o sporze, czy już może tylko podzielić środowiska na ZLP i SPP. Właściwie używa argumentów, pokazuje różne aspekty tej sprawy, daje do myślenia. Naprawdę, powiem to bez ogródek – cieszymy się, że możemy mieć tak mądrego prezesa w środowisku literackim. Wszelkie bowiem stowarzyszenia twórcze są dziś, albo wydają się być przeżytkiem i zamieniają się w „kółka różańcowe”. Ich rola i ranga wraz z upadkiem czytelnictwa i społecznej percepcji: słowa, lektur oraz samego pisarza stała się rolą ... kurnika, w którym skrywają się przed złą nocą życiowi nieudacznicy, dziwolągi i wszelkie efemerydy, które sądzą, że muszą coś napisać bądź też przeczytać, że to ich życiowe powołanie, bądź Bóg wie jak ważna rola. Niechaj im ziemia lekką będzie.

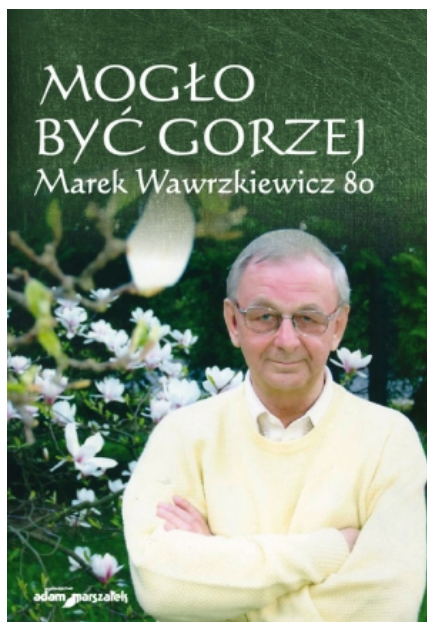
I właśnie być może trwamy i scalamy się dzięki takim ... „prezesom”. Bo Wawrzkiwicz jest bardziej poetą niż prezesem. To jest Jego powołanie. A kiedy poeta bywa prezesem... to jest bardzo ciekawie. To, rzecz jasna, żart. Żyjemy w czasach dla sztuki bardzo trudnych. Niektórzy nawet mawiają, że w czasach podłych. To czasy pustynne. Wyjąłowane. Czasy – nie bójmy się słów – barbarzyńców. Marek Wawrzkiwicz na ich tle wcielił się w komiczną rolę Don Kichota, ... bo nie miał wyjścia. Tyle, że to nowoczesny Don Kichot – nie walczy (walcząc jednak), nie widzi wiatraków (widząc młyny oraz młynarzy), nie postradał zmysłów (a jedynie postradał płonne nadzieje) – no i powiedzmy szczerze – ciężko o Sancho Pansę z prawdziwego zdarzenia...

Marek Wawrzkiwicz stał się po prostu „pomostem” pomiędzy przeszłością, Iwaszkiewiczem, a pejzażem, w którym przyszło nam żyć i tworzyć. Spełnia tę funkcję naprawdę godnie. Warto się nad tym zastanowić i pomyśleć, co by było gdyby...

Niestety to, jak wszystko, nieuchronnie nastąpi. ZLP i SPP to organizacje, które trawi powolna, nieustanna i miarowa – bardzo wolna, wręcz niezauważalna agonia. Możemy podziękować Państwu Polskiemu oraz wszelakim władzom. Z obydwu stron barykady. Dziękujemy Prezydentom, Premierom, ministrom. Dziękujemy za to, że tak dbają o kulturę, sztukę i nasz byt. A kiedy widzę taką „sztukę” – jak nie przy mierzając: ministra, premiera czy prezydenta, to i ciężko „zachować kulturę”. (to cytat z filmu „Daleko od szosy”) Oj, daleko nam od tej szosy ... Możemy też podziękować sobie samym. To już jednak całkiem inna opowieść...

Czy zatem „Mogło być gorzej”?

Andrzej Walter



„Mogło być gorzej. Marek Wawrzkiwicz 80”. Praca pod redakcją: Agnieszki Tomczyszyn-Harasymowicz, Jana Cichockiego, Andrzeja Żora. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2017, s. 350.



Rys. Barbara Medajska

Marek Wawrzkiwicz

List z pierwszego wieku naszej ery

Nie ma nic wzniosłego w moim marszu
na wzgórze.

Wielu tu weszło i nikt nie wrócił.
Tak powoli umiera się w słońcu.
Ale nastanie noc
I będzie trwać aż do dzisiaj.

Przez gałązki oliwnego drzewa
Patrzę w czerwony dym. Nie pójdę
Drogą, którą mógłbym przebyć,
Pójdę w ten krąg. Sam go nakreśliłem.
Wpadają weń bezlitosne promienie
słońca,

Skrawki komet i ziarna piasku
Niesione wiatrem.

Ojcze mój, jakże cię odnajdę w pustyni?
Tu jest tylko skorpion, jaszczurka, wąż
I wielbłądzie łajno. Nie myślę o piasku,
Bo to myśl wątpiącego. Mój język
Pragnie kropli – lecz ona jest jak grzech,
Kusi, a nie zaspakaja pragnienia. Skąd
I dokąd płynie strumienna woda,
Skoro jej śladu nie ma nawet w agawie
Usychającej jak moja wiara?

Nie pozwól mi tego uczynić. Mogę
Poślubić niewiastę, Martę lub Magdalenę,
Żyć, zażywać rozkoszy, płodzić dzieci,
Radować się, kiedy pierwszymi zębami
Gryzą pierwsze podpłomyki, a potem
Próbują jagnięcego mięsa. Jestem
Jak jagnię na pustyni, bez wody
I kolczastej trawy. Tam, w Galilei
Gdzie ryby same wskazują do rąk,
Nie ma wody i chrztu nie ma. Znowu
Jestem najlepszym pasterzem,
Bo nie ma stada.

Coś w moich głodnych trzewiach woła.
Może to ja wołam. Ja, cały z nikczemnego
ciała

Pełen bezpłodnego życia – pytam,
Dotykając warg, spoconych piersi
I przyrodzenia – po co tu przyszedłem,
Co zrobiłem ludziom, którzy
Nie uwierzyli.

Matko, odtrąciłem cię,
Bo nie znałem ojca.
W godzinie śmierci
Może ci wierzę.

Ojcze, i ty się mylisz.
Wszak jesteś człowiekiem.